

- Autor: [Wydrzyński Andrzej](#)
- Tytuł: **Plama ciemności**
- Wydawnictwo: Iskry
- Seria: Klub Srebrnego Klucza
- Rok wydania: 1973
- Nakład: 100275
- Recenzent: [Piotr Głogowski](#)

[LINK Recenzja Wiesława Kota](#)



## Rachu, ciachu i po strachu, czyli Butor mieszka w ciemnościach

Minęło cztery, albo nawet już pięć lat od kiedy postanowiłem zrecenzować powieść Wydrzyńskiego Plama ciemności. W tym czasie przeczytałem ją trzykrotnie, zanalizowałem poszczególne perspektywy narracji, zbadałem słownictwo, a nawet pokusiłem się o dekonstrukcję fabuły, rozbiłem ją na najmniejsze części znaczące i poskładanie jej według określonych kluczy, ale wszystko daremnie. Dziełko to wymyka się wszelkim znanym mi metodom opisu tekstu literackiego, a w każdym razie nie istnieje do niego jeden uniwersalny wytrych. Do badania poszczególnych elementów powieści Wydrzyńskiego musimy zastosować wiele różnych narzędzi. Autor nieźle tu bowiem namieszał! Przepraszam, nie Autor, lecz Butor, jak głosi podpis pod mottem rozpoczynającym powieść. Właśnie, zacznijmy od motta. Składa się ono z dwóch cytatów, jeden to fragment z Baudelaire'a (!), a drugi to zapis przemyśleń autora. Pomijam tu kwestię megalomańskich ambicji, czy grafomańskiego przekonania, że własne słowa są najlepsze. Otóż cytat Wydrzyńskiego jest fragmentem powieści, dla której stanowi motto. Czy zamiana literki A na B, była więc tylko kwestią przypadku? Cytat Baudelaire'a odnosi się do mieszania elementów komicznych i tragicznych w dziele, który to proces przynosi jakoby oczyszczający wpływ na umysł odbiorcy. Motto autorskie z kolei porusza kwestię zbrodni i jej konsekwencji moralnych dla ładu społecznego, wynikających nie tyle z faktu śmierci ile z uświadomienia sobie kruchości życia. Czy rzeczywiście te dwa aspekty są to dla autora wyznacznikami dzieła, wydaje się, że nie, ale po kolei.

Pierwsze zdanie tego kryminału jest kolejnym perfidnym zabiegiem A/Butora. Po nieco patetycznym, dwuczłonowym motcie, powieść zaczyna się od kryptokomunikatu – zapowiedzi narratora, że wszystko, co dalej przeczytamy będzie tylko „zabawą”, że chodzi tak naprawdę nie o prawienie morałów, czy filozoficzne wywody, ale o powieść kryminalną, która ma nam dostarczyć rozrywki. Zdanie to brzmi następująco: Istnieje tylko jeden prawdziwy urok życia: urok gry. I znów jest to cytat, jakby dodatkowy komentarz do motta, zdanie to sierżant K. przeczytał w książce „francuskiego poety”. Proszę bardzo, niezły gąszcz, a to dopiero pierwsza

strona. Główny bohater jest sierżantem (milicji?), ale znamy tylko jego inicjał, jakby to on był przestępcą. Kolejne skojarzenie to Józef K. z powieści Kafki. Autor zaczyna swoją grę na całego, „patrzcie”, zdaje się do nas mówić, „znam się na klasyce, jestem odczytany i elokwentny, ale dlaczegożby nie pomieszać trochę, użyć wielkiej literatury do napisania kryminału, dla zabawy, dla uciechy”. Kolejna myśl bohatera, nie ma już wiele wspólnego z teoretycznymi rozmyślaniami o życiu: Czy tej nocy – pomyślał sierżant – znowu ktoś umrze (...)? Stan ducha naszego bohatera jest mocno nadszarpnięty sytuacją w jakiej się znalazł. Oto bowiem trafił na wyspę (niewielkie wzgórze ze starym dworkiem, które zostało odcięte od stałego lądu na skutek wezbrania rzeki), czuje się osamotniony, rozmyśla o swej miłości do młodszej kobiety (dowiadujemy się przy okazji, że jest już emerytem), przede wszystkim za poraża go myśl, że przebywa wśród ludzi, wśród których ukrywa się morderca.

Na stronie trzeciej wyjaśnia się to, co już przypuszczaliśmy wcześniej. Francuskim poetą, którego czyta sierżant jest oczywiście Baudelaire. Bezcelność autora nie zna tu granic, oto bowiem bohater czyta fragment, który my znamy już z motta. A zatem między narratorem, autorem i K. uwikłana jest jakaś przedziwna nić wzajemnych zależności. A to nie koniec komplikacji, oto sierżant zaczyna pisać notatki, a narrator opowiada o nich jako osoba, która je odnalazła po wszystkim i dokonała rekonstrukcji wydarzeń. Mamy zatem, jak w wielu utworach Josepha Conrada, podwójną narrację. To zabieg, który pozwala na większy dystans względem fabuły i snucie refleksji, dygresji na marginesie wydarzeń. Narrator główny przechodzi sam siebie zwracając się w pewnym momencie wprost do czytelników, żeby wybaczyli mu niedoskonałości opowieści, albowiem K. zapisywał je w pośpiechu, a w dodatku pod dużą presją okoliczności zewnętrznych. Po czym pojawia się stosunkowo obszerna mentorska dygresja, przypisana niby bohaterowi, przy pomocy której Pan Autor kolejny raz bezczelnie może się poczwaniaczyć. W tekście powieści czytamy: Dzisiaj modne jest byle jakie malowanie, byle jakie komponowanie, byle jakie granie na scenie, byle jakie uprawianie krytyki, wreszcie byle jakie pisanie. B y l e j a k o ś ć staje się często regułą zjawiska, które ma zastąpić sztukę, a stanowi zaledwie jej załączek lub daleki margines, chociaż nadal nazywa się sztuką z przymiotnikiem „współczesna”. Gdyby nie ten przymiotnik, niekiedy usprawiedliwiający mierność, nieudolność lub spryt, w wielu przypadkach nie wiadomo by było o co idzie. A więc nasz Butor ma raczej poglądy konserwatywne, a przy okazji reklamuje swój towar jako „porządną” literaturę, a nie byle chłam.

Wróćmy jednak do bohatera, wiadomo o nim niewiele, wojnę spędził we francuskim ruchu oporu, a po powrocie do kraju został milicjantem, bowiem czuł w sobie potrzebę przeciwstawiania się złu (ideowiec). Zadanie na wyspie, którego się podjął, miało być ostatnim. W dworku, do którego dotarł nasz milicjant znajdują się następujące osoby: Filomena – właścicielka majątku, Barnaba – gitarzysta rockowy, bratanek Filomeny, Laura – dziewczyna nie uznająca biustonosza, bratanica Filomeny, Zenobiusz – starszy pan, brat Filomeny, Amelia – piękna narzeczona Barnaby, Eligiusz – syn Filomeny, poza tym pokojówka Gienia, kucharka, felczer i ogrodnik Filip. Narrator wymienia wszystkie postaci i krótko je charakteryzuje w kolejnym rozdziale powieści, tak jakby przedstawiał osoby dramatu we wstępie do sztuki teatralnej. Takich zabiegów teatralnych w całej powieści jest więcej, co jednak nie powinno dziwić tych, którzy nawet pobieżnie znają życiorys literacki Wydrzyńskiego. Nieco dziwaczne imiona bohaterów, doskonale współgrają z ich mentalnością, postępowaniem i zachowaniem podczas śledztwa. Od momentu pojawienia się na scenie sierżanta K. wśród podejrzanych zaczyna się perfidna gra pozorów, mataczenie, cyniczne igranie z ogniem, leczenie w kulki i robienie wszystkich w bambuko, co nieuchronnie prowadzi do finałowej jatki. Wszyscy dybią na

spadek po cioci, a jednocześnie chcą uniknąć przykrych konieczności dzielenia się nim z pozostałymi. W toku intrygi kolejni bohaterowie są mordowani z zimną krwią, a sam sierżant K. jest od początku do końca bezradny, zagubiony. Widać, że śledztwo, czy raczej zimny umysł mordercy, wyraźnie go przerasta. Jak sam przyznaje: Jestem aniołem strąconym w piekło ludzkich grzechów, w piekło ludzkich zbrodni. Przypomina nauczyciela etyki, który znalazł się w przedziale pociągu z jadącymi na mecz pijanymi pseudokibicami. Nic dziwnego, że nie umie sobie poradzić z zadaniem. Jego jedyne działanie to wystąpienie do Komendy gołębia pocztowego (którego znalazł na wyspie) z opisem sytuacji w dworku i prośbą o dodatkowe informacje. Co ciekawe, gołąb niczym SMS trafia bezbłędnie tam gdzie trzeba a nawet wraca z odpowiedzią!!! Niestety za późno. K. wykrywa sprawcę dopiero wtedy, gdy cała reszta podejrzanych jest już zlikwidowana i zostaje z nim sam na sam. A jakież wymyślne metody uśmiercania funduje nam tu A/Butor! Czegóż tu nie ma: arsenik, skorpiony, strzał z kuszy, podpiłowany żyrandol, posmarowane mydłem schody, a nawet poluzowany górnoptuk w ubikacji (spada na ofiarę w momencie pociągnięcia za spłuczkę).

Mimo ciekawej scenerii (stary dworek, park, ogród, wyspa) cała akcja rozgrywa się w jednym pomieszczeniu – w salonie. Tu przebywają wszystkie osoby i odbywają ze sobą wszelkie (niby)rozmowy, także o tym, co działo się w innych pokojach, lub na zewnątrz. Przyznam, że jest to zabieg niezwykle irytujący i nasuwa jedno pytanie: Co to k... jest? Teatr?! Niestety na to wygląda. W dodatku mamy tu całą masę przedziwnych rekwizytów, z których najbardziej cudaczny to oryginalny sztylet Lukrecji Borgi, ukradziony z Muzeum Watykańskiego, który Filomena używała do dziwnych celów: Rozcinała nim kartki w książkach i w ogóle papier. Nawet papier do toalety, za przeproszeniem, kiedy na rynku nie było rolek. W dodatku okraszony aluzjami i cytatami z innych utworów, jak dobre ciasto rodzynkami. Mamy tu odniesienia do Słowackiego, Hugo, Szekspira, Dostojewskiego, Mickiewicza, Brocha, Very'ego, a nawet pisarzy antycznych: Tacyta, Herodota czy Theophrastosa. Można przyjąć, że bohaterowie wszystkie wolne chwile przeznaczają na rozmowy o literaturze i kulturze, podobnie zresztą jest z milicjantem, co chwila przypomina sobie jakiś cytat z klasyków, albo napatacza się „całkiem przypadkowo” na otwartą książkę: Pod lampką leżało kilka otwartych książek. Na wierzchu powieść Hermana Brocha, także otwarta, i podkreślone w niej zdanie: „Tak zwana rzeczywistość nie jest niczym innym, jak zwulgaryzowaniem naszych przypuszczeń”. Niestety rola zapożyczeń w powieści wydaje się raczej drugorzędna dla samej intrygi, to jakby nieustannie obecny głos autora, który natrętnie przypomina nam, jaki to on nie jest odczytany i mądry.

Szczytem nieznośności są jednak wtręty metatematyczne. Autor w swojej niepohamowanej inklinacji do cwaniaczenia się, wypisuje nam całe tyrady, czym jest i jaka powinna być prawdziwa powieść kryminalna. Chcąc jak najwięcej wydobyć z materii swej nieco karkołomnie budowanej konstrukcji, funduje nam aż 3 zakończenia. Do wyboru do koloru. Niby wolno mu tak było zrobić, bo przecież we wstępie podkreśla, że dokonuje rekonstrukcji na podstawie znalezionych notatek, ale z drugiej strony, ja jako czytelnik kryminału oczekuję od niego zajęcia konkretnego stanowiska, ukarania zbrodniarza i pocieszenia. A tu dupa, mam trzy alternatywy do wyboru – wariant optymistyczny, tragiczny i sceptyczny. Po analizie wszystkich 3 muszę przyznać, że ten ostatni jest zdecydowanie najciekawszy i chyba najbardziej konsekwentny dla całej intrygi.

W sumie powieść Wydrzyńskiego czyta się nie bez przyjemności, denerwuje trochę schematyzm fabuły i szablonowość figur, którą sztucznie próbują zakamuflować liczne aluzje literackie i filozoficzne przemyślenia jednego i drugiego narratora. W sumie trudno jednak

wymyślić na nowo „Dziesięciu Murzynków” Agaty Christie. Butor wziął się za klasykę, sądząc, że wystarczy tylko mocniej zamieszać, żeby wyszła nowa jakość. Tymczasem otrzymaliśmy nieco płaską makabreskę, w której zamordowanie drugiego człowieka jawi się niczym zabicie figury na szachownicy. W intrydze, którą prezentuje nam autor brakuje konsekwencji, ktoś, kto zabija dla korzyści materialnej powinien raczej kierować się żądzą zysku, a nie chęcią prowadzenia wyrafinowanej gry z detektywem. Można sobie postawić pytanie, dlaczego morderca tak długo bawił się ze swoimi ofiarami, skoro chciał je tylko ograbić z klejnotów i pieniędzy. Dla przyjemności autora, na pewno. Zabawa w odgadnięcie, kto jest mordercą też niespecjalnie została przez autora wyeksponowana. Śledztwo prowadzone przez K., oraz zachowanie bohaterów skłania nas do podejrzewania wszystkich, jednakowo, od samego początku. Tak samo jak sierżant, czujemy się nieporadnie i trudno nam jednoznacznie sympatyzować z kimkolwiek czy oskarżać kogoś mniej lub bardziej. Trafny wydaje się tytuł powieści. Plama ciemności pokrywa nie tylko zbrodnię jakiej dopuszcza się morderca, bohater powieści, ale i zamysł samego autora, który chyba nieco zagubił się podczas mieszania swojej zupy.

Na koniec kilka ciekawszych cytatów:

– A dla mnie życie jest jak taksa – wtrąciła Laura. – Szybko jedzie i dużo kosztuje, więc kiedyś trzeba wysiąść. Bo kto to wytrzyma?

Collenuccio pisał o dziewczynie, która posmarowała ciało, a raczej swoją pleć, balsamem zmieszonym z trucizną. Mężczyzna, w tym wypadku król Perugii, umarł, kiedy ją uwiódł.

W nocy czytałem, że człowiek prowadzący śledztwo ma własne pojęcie o miłości, uczciwości i o świecie. Cierpi, walczy, rozmyśla. I potyka się ze światem, który przypadł mu w udziale.

Śmierć to jedyny radykalny sposób na katar. Uwalnia także od wszystkich innych dolegliwości.

Wszystko może się zdarzyć. A co się nie zdarzyło, zdarzy się w przyszłości.

Uprzedziłem ją podchodząc do niej szybciej, niż ona do mnie.